

OPLATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM.

W A R S Z A W A, ŚRODA 5 PAŹDZIERNIKA 1927 ROKU № 5

PLOMYK

Tygodnik ilustrowany dla dzieci i młodzieży.

WYDAWNICTWA ROK DWUNASTY.



MUZEA SZKOLNE.

22. SZKOŁA POWSZ. IM. KRÓLOWEJ JADWIGI W SANDOMIERZU prosi szkoły w Gdyni, Gnieźnie, Tykocinie i Zakopanem o wymianę *widokówek*.

L I S T Y O D R E D A K C J I.

DO KILKU NASZYCH CZYTELNIKÓW. Do „Piomyka” często dzieci nadysyłają swe prace: opowiadania, opisy, łamigłówki, wiersze. Najgorzej jest z wierszami. Coprawda niektóre są bardzo ładne, choć są w nich błędy. Ale dzieci, które przecież dopiero się uczą, nie mogą pisać tak dobrze, jak ci, którzy wiele pracowali nad tem, by dobrze poznać swój język. To też wierszyki, ułożone przez same dzieci, chętnie czytamy i mogą się nam one podobać mimo błędów. W numerze z pracami dzieci nawet je drukujemy po poprawieniu. Ale wiele dzieci przesyła do redakcji wiersze przepisane z książek. Prawie wszystkie te wiersze znamy, więc przepisywanie ich po to, byśmy je przeczytali, jest stratą czasu. Wystarczyłoby napisać do nas, że komuś bardzo podoba się wierszyk „Mazowsze”, albo „Najlepiej w domu” i t. d. Można też napisać, dlaczego się wiersz podoba. Ale nie można nigdy pisać, że ten wierszyk ułożyło się samemu. Kłamać jest brzydko, a przecież przepisać z książki, a ułożyć samemu — to wielka różnica. Kłamstwo to jest tem brzydsze, że jednocześnie jest fałszywem chwaleniem się cudzym talentem.

Teraz, kiedyśmy to sobie wytłumaczyli, że to czyn brzydki, już pewnie nie będziecie tego robili i przesyłane przez Was wierszyki będą naprawdę tylko przez Was układane, a nie przepisywane z książek.

DO HANI, WOJTUSIA I ANDRZEJKA KRZYSZTAŁOWICZÓW W ŁAN-CUCIE. Już dawno nie otrzymaliśmy od Was listu, a pewnie o niejednej ciekawej sprawie moglibyście nam napisać. Co się dzieje z jeżem, który na wiosnę w chlewku zamieszkał? Jak się rozwija „Samopomoc harcerska”?

DO KASI I KRYSI MIEDZIEJEWSKICH W CHRZANOWIE. Napisz nam, co porabiacie teraz. Co macie zamiar odegrać i kiedy? Ucałuj, Kasiu, Krysię i od nas „w same oczka”.

DO MARYSI ZIÓLKOWSKIEJ, MICHAŁA MAKAROWICZA, WŁADKA KUCHARSKIEGO I STASIA OSTASZEWSKIEGO W CZARTOWIE. „Piomyk” nie gniewa się nigdy. Ma tylko dużo pracy i dlatego nie odpisał Wam dotychczas. Prosi więc o obiecany opis szkoły.

DO WINCENTEGO WARDY W ZALESIU. Czy budowa budynku szkolnego ciągle pozostaje tylko pragnieniem, czy też może już coś zrobiono?

DO PIOTRA NIEDZIAŁKA W LIPINACH „C”. W Warszawie jest wiele rzeczy do zwiedzenia. Są piękne kościoły, a między niemi najpiękniejszy — katedra św. Jana, są stare domy, które bardzo dawne czasy pamiętają. Zamek nad Wisłą, wysokie kamienice, ślicznie urządzone parki i skwery (tak ślicznie, że Warszawa za nie otrzymała na wystawie w Belgji honorowe odznaczenie: wystawione tam były fotografie i plany), mosty, filtry, z których wodę czerpie cała stolica, i wiele innych urządzeń, muzea, wystawy stałe, teatry, kinematografy. Żeby to wszystko obejrzeć, trzeba się wybrać albo na długą wycieczkę, albo kilka razy przyjeżdżać.

DO STASI ZIELSKIEJ W RUDNIKACH. Czy dajesz sobie łatwo radę z zadaniami z „Turnieju rozrywkowego”?

DO MARYLI MALFUSÓWNY W STRYJU. To bardzo słuszne, co piszesz: „Jak się zrezygnuje z cukierków i te pieniądze pójdą na książki, to wkrótce będzie biblioteczka”.

DO MILCI SZOLCÓWNY W MIŃSKU MAZOWIECKIM. Czy w tym roku szkolnym będziesz miała trochę czasu, by do nas napisać? Przecież na to wiele czasu nie trzeba.

DO JURKA WIERZBIŃKIEGO W ŁODZI. Co się dzieje z Waszym sklepkiem szkolnym? Czy znalazł się wreszcie ktoś, ktoby go mógł porządnie poprowadzić? Powinniście pomyśleć o swym sklepiku i nie dać mu upaść. Pewnie z wielkim zapalem otwieraliście go, a teraz zapal ostygł. To nie dobrze. Trzeba umieć pracować wytrwale: taka praca przyniesie istotny pożytek.

DO IRUSI JEZIORSKIEJ WE LWOWIE. Jakże Ci się podoba „Wesola gromada”?



DIOMYI

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Ela słucha głosów jesieni.

Lato odeszło. Z każdym dniem jest zimniej. Dziś jeszcze ciepło. Ela w samej sukience obeszła park i wybiegła na łąkę. Trzeba pożegnać wszystko, póki jeszcze ładnie! Wszystko! Pożegnała już altanę, w której szeleszczą suche liście, pożegnała staw i łódkę — więcej pływać nie będzie: zimno! Podeszła wreszcie do Łaciatej.

— Tak, Łaciata, nie będziesz się już na łące pasła! Pójdiesz do obórki! Czasem cię tam odwiedzę, ale nie będzie już nam tak wesoło, jak to na łące bywało! Dowidzenia!

Teraz Ela klęczy na krześle przy oknie. Już zmrok zapada. W pokoju niema nikogo. Najlepsza pora dla tych, co lubią słuchać głosów jesieni. Bo chociaż przed długim, białym snem zimowym różne rozmowy jesienne trwają caluśki dzień i całą noc, najlepiej jednak tajemnicze pogwary słyhać teraz, gdy ucichł już gwar dzienny, a nie nadeszła jeszcze cicha nocka. Potem sen ogarnie dzieci, ptaki i zmarznięte, ociążałe owaady. Zaśnie Ela i jej dzienni znajomi. Wiatr będzie się targował z drzewami o ostatnie liście. Będą one lekko spływały na ziemię, niewidzialne, szeleszczące cicho. Zechce wiatr - samotnik dostać się do cichych, przytulnych, pogrążonych we śnie mieszkań ludzkich. Ale którą? Zamknięte drzwi, zamknięte okna. Więc stary włóczęga szarpnie okiennicami, zajęczy w kominie, czarnemi, nagiami konarami drzew długo kołatać będzie w okna i drzwi, a nawet łomotać po ścianach. Wreszcie, zanim wstanie późny świt, dokoła w okienkach zabłysną niktłe światła. Wczesnie przebudzeni do pracy ludzie z latarkami w rękach wyjdą na drogę do kolei, pobudzą się wróble kłótlive, na wierzchy starych czereśni zlecają się radzić o zimowej biedzie. Ach — prawda! Jeszcze przez całą noc poszczekiwać będzie czujna Iskra i inne psy — tam po świecie. A raniem, kiedy wróble sejmować zaczną, opuści Iskrę i rozsądek i powaga. Będzie biegać pod drzewami, i szczeakać, a ujadać, złościć się bezskutecznie, opierać się łapami o pnie czereśni i gadać bez końca.

— A cicho! A przestać! A dosyć mi już tych gwałtów! Nie przestaniecie? Co? Dam ja wam tu zarrraz, wróbliska, wróble, wróblisce!

— Zima idzie, bieda idzie! Głód, głód, głód!

— Idzie chłód, zły chłód idzie, idzie, idzie.

— Trzeba radzić, tak, tak; trzeba radzić już, już już!

— Czas, wielki czas, czas!

Ela lubi zbudzić się w nocy, leżeć sobie cichutko z szeroko otwartymi oczami i słuchać i w okno patrzeć. Ale to się niezawsze udaje, gdy się człowiek cały dzień nabiega, napracuje.

Teraz, o zmroku, jest dobrze. Z łąk wstały miękkie, siwe opary i zatopiły cały świat. Wielkie, ciche morze rozciąga się przed oczami dziewczynki. Niby wyspy zaczarowane wyzieraają z nich białe domki o czarnych lub czerwonych dachach i kępy prawie bezlistnych drzew. Słońce już zaszło, zostawiając złoto - seledynowe smugi. Liście z drzew spadają cicho, bezszelestnie.

W sąsiednim pokoju zapalono lampę. Nastusia krząta się koło kolacji. Słysząc liczne kroki i gwar rozmów.

Kolacja skończona. Wszyscy wstają. Ela czeka czegoś niecierpliwie. Żebyż tylko nie kazali iść zaraz spać! Mija długa chwila.

Matka siada przy fortepianie, uderza w klawisze. Ela wsuwa się za krzesło. Tu w cieniu jest prawie niewidoczna. Stoi przy samym fortepianie, w topieli dźwięków.

— Idź, Elu, spać!

— Ach, jeszcze chwilę!

Matka gra. Ucichły rozmowy. Tony płyną. Przebiegają po klawiszach matczyne palce. Koło fortepianu skupia się gromada.

Pieśń płynie gorąca, wolna, potężna:

„Jak wspaniała nasza postać,
jak się w słońcu błyszczy stal!

Koń na miejscu nie chce dostać!
Pójdiesz, koniu, pójdiesz w dał”!

Słucha dziewczynka wtulona w kąt za fortepianem:

„Leci liście z drzewa, co wyrosło
wolne.

Nad mogiłą śpiewa jakieś ptasze
polne...”

Rozszumiał się za oknami jesienny wiatr i strąca liście blade...

„Złote słonko do gospody
poszło do snu złożyć skroń.

Mgły wilgotne wstają z wody,
z łąk wieczorna płynie woń...

Cichy smętek zapukał do okien.

Już noc wkoło, ciemna noc jesienna.

— Idź-że już spać, Elu!

— Dobranoc.

Ela rozbiera się prędko, prędko. Już leży. Przez niedomknięte drzwi wpada smuga światła. Zostawiła Ela szparę w drzwiach, by móc lepiej słuchać. Oni jeszcze będą śpiewali długo, długo:

„Tam na błoniu błyszczy kwiecie,
stoi ulan na wedecie,
A dziewczyna jak malina...”

— Ach, Iskra, bądź-że cicho, piesku, nie przeszkadzaj!

„Ulani, ulani, łani, łani,
Malowane dzieci, dzieci, dzieci...”

Babunia stare piosenki przypomina. Sen pochyla się nad łóżczkiem Eli. Płyną pieśni, płyną stare pieśni:

„Oto dziś dzień krwi i chwały,
oby dniem wskrzeszenia był...”

Sen kładzie dłoń na oczach dziewczynki.

Za oknami szumi jesienny wiatr... Jesienny, drobny deszcz dzwoni w szyby.

Ewa Grodecka.



Mal. J. Chełmoński.

„Babie lato”.

*Snuje się, snuje babie lato
na łąkę szarą, na ściernisko,
i bielą swoją zapowiada,
że jesień idzie, zima blisko.*

*Snuje się, snuje babie lato
na puste pola, na zagony,
okrywa swoją srebrną siatką
pożółkłe trawy, las zielony.*

*Lecą niteczki białe światem,
ponad mgły sine i opary,
złocą się w jasnym smugach
słońca
i oplątują drzew konary.*

MARJA BĄKOWSKA.

Polowanie.

Polowanie trwało już piąty dzień. Znużeni myśliwi spędzali noc w obozie przy ogniskach. Było ich kilkudziesięciu, cała męska ludność wsi wyległa na ową wyprawę. Nie goniła ich tam sama tylko myśliwska uciecha, w domach ich, a raczej w jaskiniach skalnych, w których mieszkali, zapasy żywności były już na wyczerpaniu. Jeśli z pustemi do dom wrócą rękami, czeka i ich samych i, co jeszcze straszniejsze, ich żony i dzieci głód. A jakoś zanośliło się na to, że z pustemi rękami wrócą.

Cztery dni gonili przed sobą stado bawołów, cztery dni naprzóżno usiłowali je rozdzielić i rozproszyć, by potem na pojedyncze sztuki osobno napadać i dotychczas prócz jednego młodego cielaka, co się od stada odbił, nic jeszcze upolować nie zdolali.

Trud to był niewypowiedziany takie polowanie i niebezpieczeństwo ogromnie. Nie znali jeszcze ci jaskiniowi ludzie ani łuków, ani nawet procy. Za całe uzbrojenie mieli siekiery, włócznie i noże, wszystko z kamiennymi ostrzami. Stadu całemu stawić czoła oczywiście nie mogli, na pojedynczą sztukę rzucali się tłumnie, zapędzali w ostępy leśne i, ogłuszywszy zwierzę krzykiem, kłuli, bili i siekli, czem kto mógł i jak umiał. Kończyło się to niezawsze myśliwskim łupem, czasem zamiast zwierzyny na drągu wypadło nieśd do domu na skleconych z gałęzi noszach zabitego, lub ciężko poranionego towarzysza wyprawy, czasem zmieniały się role i rozjuszony napadem zwierz rozpędzał napastników i puszczał się sam za nimi w strasliwą pogoń.

Półnaczy myśliwi, skórami zwierząt tylko okryci, i sami do zwierząt bardziej, niż do ludzi podobni, w braku rogów, kłów i pazurów podstępem i sztuką myśliwską posługiwać się musieli, łowiąc w sidła pomniejszą zwierzynę, kopiać doły - pułapki na nawiedzanych często przez grubszego zwierza ścieżkach leśnych, zasadzając się przy wodopojach. Ciągłe wyprawy udoskonaliły instynkt łowiecki tych leśnych ludzi, wyćwiczyły ich czujność, w stał zamieniły ich mięśnie, że dniami całemi gonić mogli bez przerwy za wymykającą się im zwierzyną.

Co przygotował podstęp, to kończyła siekiera czy włócznia. Siekierę zrobić można było rozmaicie. Najprostszy sposób to obłupać pierwszy lepszy napotkany krzemień w taki sposób, żeby z niego pozostał tylko płaski kamień z ostrą krawędzią, a później przywiązać ten kamień do kija sznurem, uplecionym z włókien roślinnych. Sznur po pewnym czasie rozluźnił się lub zsuwał się z kamienia tak, że kamień nie trzymał się mocno obsady, lepsze więc były siekiery, gdzie wywiercony w kamieniu z mozołem wielkim otwór dawał możliwość nieporównanie silniejszego obsadzenia styliska. Można wreszcie było użyć i takiego sposobu, że w młode dębczaki wbijano głęboko jeden lub kilka krzemieni, których końce wystające z drzewa ostrono, nadając im kształt bądź siekiery, bądź śpiczastych kołców. Kiedy po kilkunastu latach drzewo podrosło i zgrubiało, a białe węń kiedyś kamienie wrosły głęboko w masę drzewną, ścinano dębczaka, uzyskując po odpowiednim jeszcze obrobieniu albo siekierę, albo, jeśli wbitych w drzewo kamieni było więcej — maczugę.

Noże i ostrza włóczni zrobione były z kości zwierzęcych lub z odłamków krzemiennych, do oprawy służył najczęściej róg.

Wojownicy spali przy ogniskach, okryci temi samymi skórami, które w dzień służyły im za ubranie. Stłoczeni ciasno dla ochrony przed nocnym chłodem, leżeli wszyscy zwrócenii nogami od ognia tak, że koło każdego ogniska tworzył się jakby wieniec ludzkich postaci. Włócznie, wbite ostrzem w ziemię u wezłowia śpiących, tworzyły dokoła nich jakby częstokół. Przy każdym ognisku czuwał jeden z myśliwych, podsycając ogień zgromadzonem z wieczora paliwem.

Szaro się już robiło na świetle, kiedy wódz dał hasło do dalszej pogoni. Wysoki był, postawny, z ramionami, jak konary dębu. Od innych wyróżniał go tylko wspaniały naszyjnik z kłów zwierzęcych, zdobiący mu szyję, oraz lepsza od innych broń. Siekiera jego, obsadzona mocno na potężnym drzewcu, aż błyszcziała w pierwszych blaskach wschodzącego słońca, tak gładko była wypolerowana. Za bogatym, z kolorowych sznurów splecionym pasem tkwił krótki kościany mieczyk.

Już mieli ruszać, gdy nagle ni stąd ni zowąd zerwała się nagle wichura. Obozowisko leżało na wzgórzu, które łagodnym spadkiem przechodziło w szeroką otwartą równinę, właściwie raczej step, ciągnący się hen aż po siniejące w oddali skały. Był koniec lata. Spalone słońcem bujne trawy, jakimi step pokrył się wiosną, zalegały teraz szarym bezbarwnym kobiercem całą równinę. Wdali widniał duży rój czarnych punkcików: niedościgniony, upragniony cel — stado bawołów.

Wicher zadał ze zdwojoną siłą, właśnie w kierunku stada i widniejących zdala poza niem skał. W jednym z ognisk żarzyły się jeszcze głównie. Siła wiatru rozdmuchała ogień nanowo, głównie buchnęły jasnym płomieniem. Jedna z płonących gałęzi, porwana wichrem, uniosła się w górę i, zatoczywszy łuk w powietrzu, spadła o kilkanaście kroków na ziemię, sypiąc snopem iskier na wszystkie strony. W mgnieniu oka z trawy podniósł się kłęb dymu, buchnęły krwawe języki ognia i w chwilę później gorzało już całe wielkie kolisko. Uderzył w to nowy podmuch wichury, zdarł powłokę dymu, rozżarzył płomień, rozrzucił go szeroko wokoło.

Pożar z niepojętą szybkością posuwał się naprzód. Zsunął się ze wzgórza a sycony bocznymi prądami powietrza rozszerzył się jeszcze w obie strony i szerokim, krwawym półkolem biegł dalej i dalej. Myśliwi stanęli, jak wryci, patrząc z przerażeniem na szerzącą się pożogę. Niebezpieczeństwo nie groziło im żadne, ale taka potęga grozy biła od tego rozszałatego żywiołu, że dech zaparło im w piersiach, a zimny pot wystąpił na czoło.

Nagle, jak grom, olśniła ich myśl — bawoły. Na krańcu stepu, tam, gdzie zaczynały się skały, płynęła w głębokiej dolinie rzeka. Brzegi tej doliny były zupełnie niedostępne: pionowe, wysokie urwisko zwiślało poszarpaną ścianą wdół ku rzece. Ku temu urwisku gnało teraz w szalonym pędzie stado, uciekając przed szeroką już ławą pożaru.

Kiedy bawoły dobiegły do krańca równiny zatrzymały się. Duszony dymem, parzone bijącym z oddali żarem zbiły się olbrzymi stepowe na cyplu skalnym tuż nad krawędzią przepaści. Nowy podmuch żaru, stado zakołysało się, najbliższe krawędzi byki, spychane coraz silniej przez resztę, runęły w przepaść, potwornym rykiem napełniając powietrze. Za nimi poszła wkrótce reszta, kilka tylko zostało na górze; padły uduszone dymem, nim zdołały osiągnąć przepaści.

Wtedy w godzinę później nadbiegli myśliwi, czarni od sadzy i perzyny, w której brodzili po kolana. Ognia nie było już wcale. Wiatr przegnał już nawet i dym, tworząc zeń gdzieś na horyzoncie burą grzywą chmur. U stóp ich na zwalonych beładnie głazach leżało bez ruchu

kilkadziesiąt olbrzymich cielsk bawolich. Była to żywność dla całej wioski na długie, długie miesiące. Radosne okrzyki rozległy się dokoła.

Polowanie było skończone. Natura przysłała z pomocą człowiekowi, wskazała mu nowy środek walki. Człowiek stał się bogatszy o jedno doświadczenie więcej. Ile ich miał jeszcze przed sobą?

K. Konarski.

Pastuszek przy ognisku.

*Gdy pastuszek sam za stadem
wzdłuż pustego chodził rżyska,
smutek włókł się jego śladem,
wiała chłodem rzeczka bliska...
Na pustkowiu zimnem, bladym
Jaś zatęsknił do ogniska...*

*Błysnął płomień! Chróst się żarzy.
Rzucił gałąź jedną, drugą.
Przysiadł. Patrzy w ogień, marzy:
— Już zaganiać czas niedługo...
W domu matuś jadło warzy...
Płyną dymy ciepłą smugą...*

ALINA KWIECIŃSKA.

Zamarłe miasta.

Każdy niemal podróżny, zwiedzając piękny Neapol, położony w południowych Włoszech, nad brzegami modrego Adrjatyku, czuje się prawie w obowiązku poświęcić kilka godzin na zwiedzenie zamartej Pompei.

W czasach starożytnych, o 7 kilometrów od Neapolu, wznosiły się dwa miasta, założone przez Greków: Herkulanum i Pompeja. Natura obdarzyła je szczodrze, a ludzie zrobili dużo. Przez rok cały świeciło nad nimi południowe ciepłe słońce, nieznanne były śniegi i mrozy, dojrzewały pomarańcze, cytryny i inne południowe owoce.

Rosły gaje cyprysów i mirtów, a że przytem miasta leżały nad morską zatoką, więc rozwijał się handel. Miasta te mogły więc tonąć w dobrobycie i przyjemnościach.

Ale ponad nimi, jakby groźne przypomnienie, że na świecie nie ma nic zupełnie pewnego, wznosiła się góra szczególna, bo samotnie stojąca, kształtem podobna do głowy cukru, tylko w stosunku do wysokości



KRATER WEZUWJUSZA PODCZAS WYBUCHU.

znacznie szersza u podstawy. Ta góra to wulkan Wezuwjusz, sąsiad niebezpieczny i zdradliwy. Bywa dłuższy czas spokojny, aż nagle pewnego dnia daje znać o sobie przerażonym mieszkańcom podnóża. Z początku dymi, jak przez zwykły komin, przez krater, t. j. otwór, znajdu-

jący się zwykle na szczycie wulkanu, następnie dym się zwiększa, wydobywają się płomienie, słychać głuche grzmoty i zaczyna płynąć rozpalona lawa.

Ale Herkulanum i Pompeja nie bardzo obawiały się Wezuwjusza, bo nigdy potoki lawy tak daleko nie dochodziły. To też miasta owe powiększały się, rosły w zamożność a bogaci Rzymianie budowali tam dla siebie wspaniałe letnie rezydencje. W 79 roku po Chrystusie, 24-go sierpnia, po kilku dniach niepokoju na szczycie wulkanu, niepokoju, objawiającego się gęstymi kłębamii dymu i wybuchami płomieni z krateru, usłyszano daleko, nawet bardzo daleko, silne grzmoty, idące z wnętrza góry. I popłynęły gorące potoki lawy, pokrywając jakby śmiertelnym całunem wszystko napotkane po drodze. Mieszkańcy Herkulanum i Pompei przeważnie uciekli z życiem, ale miasta zniknęły pod pokryciem popiołu, zmieszanego z piaskiem i wodą, co utworzyło nad nimi jakby twardą, kamienną powłokę.

W starożytności próbowano tu i tam przekopać to pole zniszczenia, ale dopiero w drugiej połowie XVIII wieku zabrano się systematycznie do tego. Dotychczas odkopaną całkowicie jest tylko Pompeja, w czasie ubiegłego lata rząd włoski poraz pierwszy po wojnie zabrał się do pracy nad Herkulanum, spodziewając się znaleźć tam jeszcze duże skarby sztuki.

W Pompei znaleziono ich bardzo wiele i przewieziono w znacznej części do muzeum w Neapolu. Pod naporem lawy kruszyły się budowle, sufity zapadały, trzaskały kolumny, a górne piętra wznoszone z drzewa, przepalił żar i zwęglił. Mimo to jednak pozostałe w wielkiej ilości bardzo cenne zabytki dają nam możliwość odtworzenia warunków życia ludzi owej epoki, ich urządzeń domowych i stopnia cywilizacji.

Na ścianach domów bogatszych mieszkańców zwiedzający podziwiać może artystyczne malatury, piękne rzeźby w niszach, choć nieraz uszkodzone, a znalezione sprzęty domowe, przeróżne narzędzia, nawet chirurgiczne, właściwym sobie językiem opowiadają dużo o tych minionych czasach.

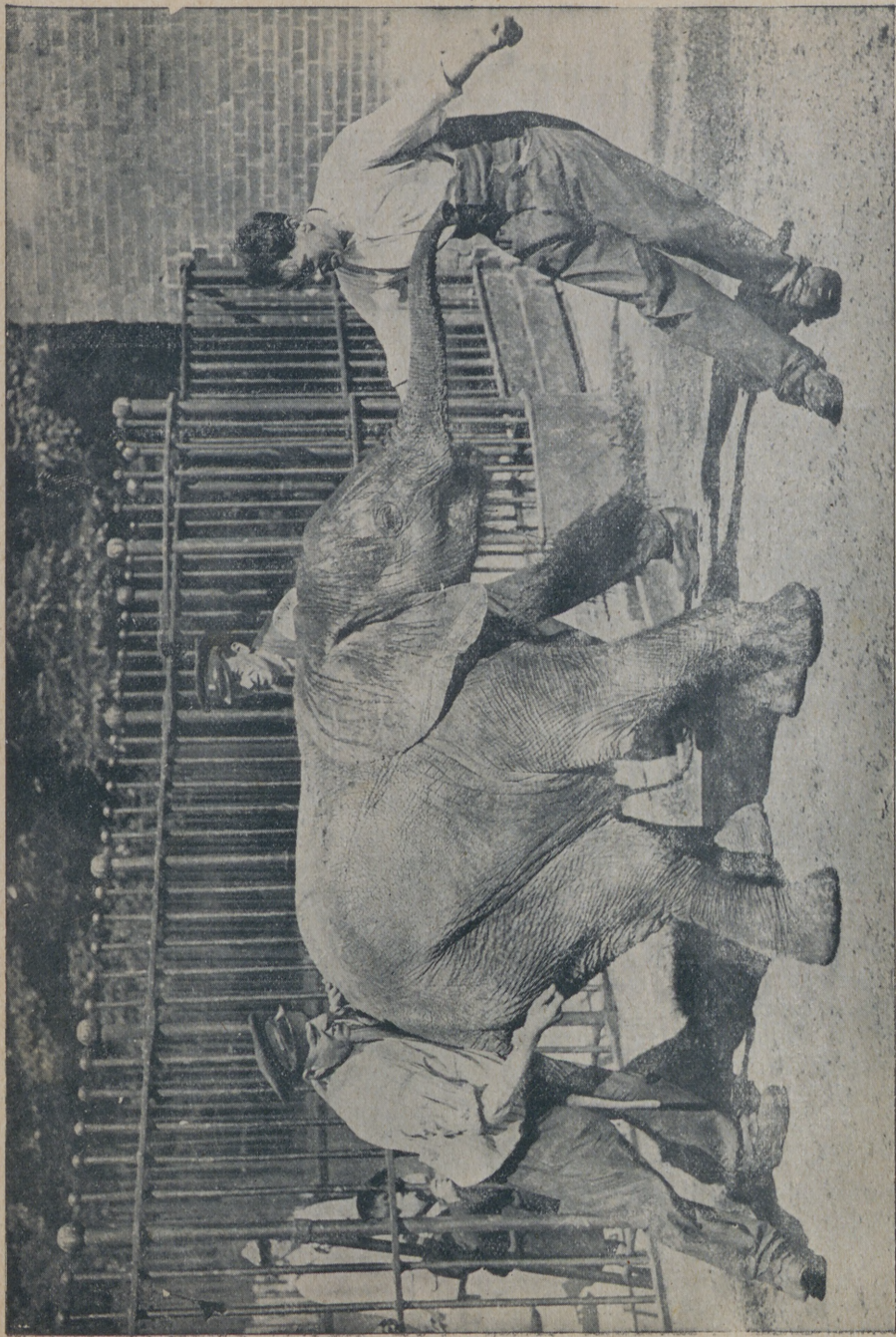
Ze szczątków murów i kolumn badacze umieli odtworzyć plan budynków i rozkład pomieszczeń w domu. Odkopano forum, to jest plac zebrania. Tutaj schodzili się ludzie na narady, tu przyjmowano wybitne osobistości. Wokoło stały domy urzędowe, sąd i co wspanialsze świątynie.

Dom mieszkalny ówczesny z przodu był gładki, bez ozdób, nawet bez otworów na okna. Cały przepych mieścił się wewnątrz murów, a chociaż nieraz budynek był duży, ale pokoje malutkie — tylko dziedzińce i ogród obszerne.

Odkopano też drogę na cmentarz i piękne grobowce.

Podróżny, zwiedzający Pompeję, przechodząc pomiędzy ruinami, wśród głuchej ciszy wokoło, przerywanej jedynie odgłosem własnych kroków, z trudnością tylko wyobrazić sobie może, że niegdyś wrzało tu życie wesołe i bujne i że to była siedziba dawnych władców świata, potężnych Rzymian.

H. Michalecka.



Ten mały słoń nie lubi się kąpać. Patrzcie, jak trzeba go ciągnąć do kąpielii! Podobno zdarzają się i dzieci, które nie lubią się myć... Czy tak jest?

O pewnej bardzo ważnej sprawie.

Zdarzyło się, że młody Polak, uczeń marynarki, zaznajomił się na statku handlowym z rówieśnikiem swoim, Szwedem. Po kilku miłych rozmowach o pogodzie, o morzu, o doskonałości statku, który ich niósł przez rozfalowane wody, postanowili się poznać bliżej. Przedstawili się sobie, to znaczy powiedzieli sobie imiona i nazwiska swoje, wreszcie narodowości.

— Jesteście Szwedem?! Znam trochę Szwecję z historii i z powieści. Czytałem śliczną powieść pod tytułem: „Cudowna podróż” i bardzo potem chciałem poznać Szwecję — mówił polski marynarzyk.

— I ja coś słyszałem o Polsce... Zaraz, poczekać... Acha, mój stryj był kiedyś w Polsce. Ale mówił tylko coś o brudnych miasteczkach, o hotelach, że też brudne... Już nie pamiętam...

Młody obywatel Rzeczypospolitej zaczerwienił się. To było niedelikatnie, tak źle mówić o jego ojczyźnie. Jemu tak tęskno za Polską, a tu tak odrazu wypalili mu w oczy: brudno. I tylko tyle.

Ale co prawda, to prawda: brudno. Wspomniał sobie jakiś helgo-landzki ubogi domek. Jakże tam było czyściutko! Przeszedł myślą obce kraje, które poznał, przypomniał sobie jeden mały hotelik niemiecki, gdzie spał, i zrobiło mu się gorzko i przykro. Stracił humor, umilkł, nie mógł o niczem innem myśleć. Patrzył w wodę oparty o burtę i myślał.

I nagle zrozumiał: porządek to ludzie. Jacy ludzie, taki porządek. Porządek to obyczaj codzienny. Przypomniał sobie niszczycielstwo uczniaków, ich brudne ręce, ich nieposzanowanie ubrania, ławek, ścian.

Tak, nasi młodzi obywatele. Trzebaby Wam, dzieciom, powie-dzieć o tych codziennych, a tak ważnych sprawach. O skutkach bezmyślnych przyzwyczajeni. Może Wasze starania przyczynią się trochę do zmiany na lepsze. Wszakże skorośmy Was nazwali obywatelami, to znaczy, że kraj jest Waszą własnością, o którą musicie dbać. Posłuchajcie więc o różnych sprawach, tyjących się poszanowania tej własności.

Kilka miesięcy temu ustawiono w Warszawie kosze na śmieci. Mimo to ludzie rzucali pudełka, papierosy, skórki od pomarańczy na ziemię, na chodniki, na ogrodzone trawniki. I zdarzyło się, że policjant grzecznie zwrócił uwagę, że oto są kosze i otrzymywał, o wstydzie! taką odpowiedź:

„Pan mnie porządków nie ucz!”

Tak, moje dzieci. Obraził się pan porządnicki, co zaśmieca ulice i skwery. Jego będą uczyć? O zgrozo, kto śmie! I buch! skórkę od pomarańczy gdzie popadnie, smyrig! papierosa przez ramię a... nos do góry. A że jego miasto, jego stolica będzie wyglądała, jak jeden wielki śmietnik, to co jego to obchodzi?!

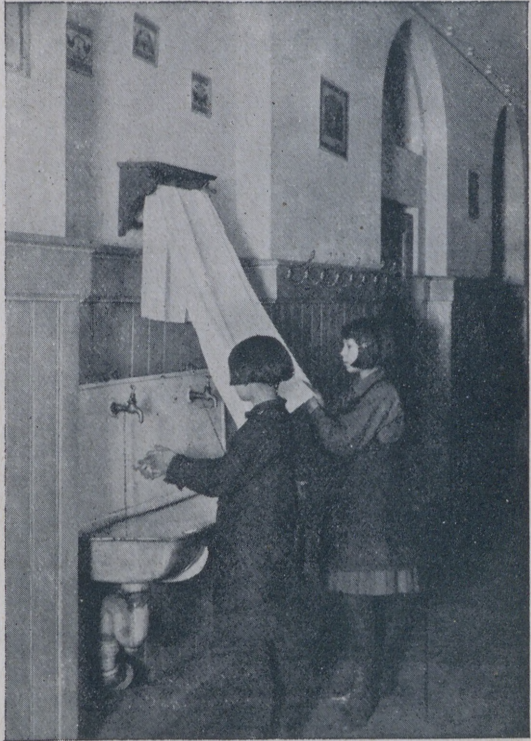
Albo naprzykład nasze klatki schodowe. Gdybyśmy tak poszli na wycieczkę w celu zwiedzenia klatek schodowych! Brud, smród aż dusi. Wystawienie, skanalizowanie, oświetlenie kamienic jakiegoż dowodzi rozumowi człowieka! Ale naprawdę niejednokrotnie się wydaje, że gdyby

w tych kamienicach mieszkały zwierzęta, żeby tam jadły i brudziły, to schody nie wyglądałyby gorzej, gdy służą ludziom. A już naprawdę o zupełnej dzikości świadczy stan ustępów podwórzowych, kolejowych, szkolnych. Widocznie wielu ludziom nie przychodzi do głowy, że to są w kulturze każdego najważniejsze sprawy. Niema nic, coby bardziej świadczyło o dobrem wychowaniu człowieka, jak pozostawienie po sobie czystości wszędzie i zawsze. Człowiek naprawdę kulturalny bardzo dba o to, żeby przez niego nikt nie miał przykrości, nie zabrudził się, nie wstrząsnął z obrzydliwości. Wstyd przynosi nam tak często spotykany napis: „zostaw to miejsce takim, jakim pragnąłbyś je zastać”. Obowiązek przestrzegania czystości w ustępach powinien być od maleńkiego wdrożony; zrozumiały i tak oczywisty napis, przypominający o tym, powinien wprost obrażać kulturalne dziecko.

Ale, niestety, daleko jeszcze do tego. Małe dzikuski wprawdzie umieją czytać, ba, malować, modelować, pisać, ale o prawdziwym porządku koło siebie często pojęcia nie mają. Trzeba, żeby dzieci dowiedziały się, że nawet wycieranie nosa może być brzydkie i niedelikatne. Jeśli ktoś ma bardzo zapchany nos i chce go porządnie, jak to mówią „wytrąbić”, np. przy stole, gdy inni jedzą, powinien się koniecznie od tego powstrzymać lub wstać i na tę chwilę odejść. Także chusteczki do nosa nigdy nie należy kłaść na stole.

Nie powinno się też charczeć i spluć przy ludziach, o ile to tylko możliwe. Są to wszystko rzeczy konieczne, ale brzydkie, robiące innym przykrość i dlatego należy je załatwiać dyskretnie

A przyjrzyjmy się ludziom w ogrodach publicznych, w poczekalniach, w wagonach. Obiorą pomarańcze i buch! skórki na ziemię, na ławkę, na trawnik. I pluną byle gdzie i papier rzuca. Toteż nieciekawie



W nowych budynkach szkolnych macie umywalnie: zachowajcie w nich czystość.

wyglądają miejsca, przez które się dużo ludzi przesunie. A w Szwecji widziałam w wagonie 3-ej klasy umywalnię, jak salonik. Wisiały tam ręczniki, leżały maleńkie mydełka do jednorazowego użytku.

Widać było, jak bardzo tam dbano o wygodę każdego podróżującego. I to nietylko zarząd kolei, ale i ci, co chodzili się myć do umywalni. Widać było po ręcznikach, jak czysto domywano ręce, a po wyglądzie umywalni i ustępu, jaki każdy zostawił po sobie porządek. Niema co ukrywać, że u nas po kilku godzinach ręcznik wyglądałby jak ścierka, a umywalnia byłaby brudna i pozalewana.

Trzeba też mieć odwagę wymagać. Nie kupić z brudnego straganu, nie przyjąć bułki, owiniętej w brudny papier, zwrócić nieumytą łyżeczkę lub brudny talerz w restauracji, nie dać się uczesać lepkiem i czarnym grzebieniem u fryzjera, nie położyć się w używaną pościel w zajeździe lub hotelu. Jeśli wszyscy zażądamy schludności, czystości od siebie i innych, podniesie się ogólny kulturalny stan w kraju.

Powinno się to stać Waszą ambicją, żeby Wasz ogród szkolny czy podwórze było niezaśmiecone, żeby Wasze ustępy były wzorowo czyste, żeby w szatniach ubrania nie leżały na ziemi.

Nic się samo nie bruka. To ludzie przechodzą i znaczą swój ślad. Wyobraźcie sobie naprzykład, że organizujecie wycieczkę. W lesie, gdzieście się rozsiedli, gdzieście rozpalili ognisko, gdzieście odpoczywali, może po Waszem odejściu być śmietnik, a może nie być śladu. Jeśli wykopiecie dołek, zakopiecie papiery, skórki od serdelków i t. p., jeśli nie połamiecie krzewów — to będzie dowód, że tu obozowali ludzie kulturalni. Opowiem Wam z wielkim wstydem i wielką przykrością jedno zdarzenie prawdziwe. Ofiarowano harcerzom (dzieci, słuchajcie, harcerzom!) placyk na mustry w obrębie prywatnego ogródka. Otóż wszyscy chłopcy załatwiali swoje potrzeby w tym ogródku, a niektórzy na ścieżce. Przykro jest o tem mówić, ale trzeba koniecznie. Pocóż się uczyć mustry, śpiewania piosenek, pocóż to wszystko, jeśli się nie rozumie, że zabrudzenie cudzego ogrodu, że zanieczyszczanie ścieżek jest dowodem wprost dzikości, czynem zwierzątek, a nie ludzi?

„Płomyk” czytuje dzisiaj tysiące dzieci. Niech te tysiące dzieci kulturalnych, uczęszczających do szkół, mających swój własny tygodnik, postanowi bardzo dbać o czystość i to zarówno w ciemnym kąciuku, jak na oczach ludzkich, a zaraz cała sprawa się polepszy. Skontrolujcie stan Waszych rąk, nóg, bielizny, poszukajcie w sumieniu grzechów pisania na murach, zaśmiecania wagonów, ogrodów, ulic, poczekalni i wypowiedzcie niechlujstwu śmiertelną walkę. W takiej walce też potrzebna jest dzielność i wytrwałość. A może kiedyś młody marynarzyk polski nie będzie się musiał rumienić, rozmawiając ze Skandynawczykiem o Polsce.

St. Szuchowa.



4)

Skarby piaszczystego wzgórza.

Napisata Marja Gerson-Dąbrowska.



GARNKI, SIEKIERKA, SZPILKI I MŁOTEK DAWNEGO CZŁOWIEKA.

— O, patrz — woła Marychna, nachylona wraz ze Staszkiem nad rozkopem — tu zupełnie jest tak, jakby kto wybrukował. Czy można tam zejść, tatku?

— Nigdy w świecie, mogłyby się kamienie zapaść i zniszczyć to, co jest pod niemi.

— Więc tam coś jest doprawdy? — pyta pani Liwska.

— Niewątpliwie. Jestem teraz pewien, że trafililiśmy dobrze.

Dół rozszerza się coraz więcej, już teraz powierzchnia wyłożona kamieniami ma jakieś dwa metry wzdłuż i około półtora na szerokość. Obkopano je wokoło.

— Już koniec — mówi tatuś, — już tu dalej niema kamieni, a teraz, dzieci, zejdźcie tu do mnie ostrożnie. Marychna niech zdejmuje te kamienie, a Staszek niech je odrzuca.

Gdy zdjęto cały pokład kamieni, pod spodem ukazał się znów żółty piasek.

— Ach, znowu piasek! — mówi rozczarowana Marychna.

— To nic, ale patrz, tu wokoło został jeszcze ostatni, okalający szereg kamieni i gdybyśmy odkopali je trochę z boków, zobaczyłabyś, że jest to jakby skrzynia, ułożona z kamieni, której wieko zdjęliśmy w tej chwili.

Teraz zaczyna się praca powolna i mozolna. Pan Liwski małą łopatką ostrożnie odrzuca ziemię z pomiędzy kamiennego okręgu. Łopatka zawadza o coś twardego, a tatuś porzuca łopatkę i bierze w rękę łyżkę blaszaną. Dzieci robią toż samo.

— Ostrożnie, powoli — ostrzega tatuś. — Oto najważniejsza chwila! Odślaniamy kartę przedwiecznych dziejów!

Tatuś jest naprawdę przejęty, a Marychnie serce bije i aż dech

zapiera ze wzruszenia i ciekawości. Wolniutko odrzucają żółty piasek. Łyżki co chwila zgrzytają o coś twardego.

— Oto pierwsza! — mówi nagle tatuś, ukazując zarysowujący się ponad piaskiem wrąb jakby jakiegoś okrągłego naczynia. — Więc się nie omyliłem!

Odrzucony od boków naczynia piasek odsłania brzeg prostego grubego garnka o czarniawej ziemistej barwie.

— Trzeba go wyjąć — mówi ciocia, pochylona wraz z panią Liwską nad wykopany dołem.

— Niechże Bóg broni! Rozsypałyby się na kawałki — mówi tatuś. — Trzeba najprzód wyjąć ostrożnie wszystko, co jest wewnątrz, obkopać go wokoło i dać mu wyschnąć na powietrzu.

— Tatku! nie, już ja nie wytrzymam! — mówi Marychna. — Proszę mi powiedzieć, co to jest takiego ten garnek i co w nim jest?

— Może złoto? — wtrąca pocichu Staszek.

— Ech, niemądry jesteś! — odpowiada szeptem dziewczynka. — Wcale mi już nie idzie o żadne złoto, tylko jestem taka bardzo ciekawa!

Tymczasem tatuś powoli wybiera łyżką piasek, zapelniający garnek. Im głębiej, tem piasek staje się bardziej szarym, wreszcie zupełnie szarym, jak popiół i pomieszany z drobnymi odłamkami kostek i kawałeczkami węgla.

— To są szczątki naszych prapraojców z przed lat tysiąca — mówi tatuś, zsypując ostrożnie popiół i kostki na przygotowany papier.

— Jako, tatku, więc to są grobowce?

— Nieinaczej. Odkopaliśmy w tej chwili grobowiec starożytnych Słowian, tych z pogańskich jeszcze czasów, którzy to ciała zmarłych mieli zwyczaj palić na stosach, a popioły ich zsypywać do takich oto glinianych naczyń i zakopywać w ziemię. A to co takiego?

Z pomiędzy popiołów i kostek wytoczył się jakiś przedmiot drobny, okrągły, zzieleniały zupełnie tak samo, jak znaleziona przez Marychnę obrączka.

— To pierścionek brązowy — objaśnia pan Liwski — taki, jak ta bransoleta, którą dzieci znalazły.

Poszukując w dalszym ciągu, natrafiono jeszcze na trzy inne popielnice. Każda z nich odmiennego trochę kształtu a wielkości dużej dziełki. Wszystkie z gliny palonej, grube i niezbyt foremne, najwyraźniej wyrobione w rękach bez kółka garncarskiego, którego obecnie używają przy wyrobie garnków. Niektóre ozdobiono pasczkami i kropkami, wyciśniętymi w glinie.

Praca archeologiczna idzie na dobre.

Marychna powoli dobywa popioły z naczyń, a Staszek przesiewa je przez sito, wybierając starannie wszystko, co się w nich znajduje ciekawego: a więc kółeczka brązowe, skręcone jakby węże, stopione kawałeczki brązu, paciorki dziwne, nanizane na brązowy drucik.

— Musiała to być jakaś elegantka — mówi tatuś, oglądając tę odwieczną bransoletę.

— Tatku, tu coś dużego i twardego w tej popielnicy — woła Marychna. — Niech tatuś zobaczy!

Dalszy ciąg nastąpi.

5)

Wesoła gromada.

Opowiadanie z życia szkolnego.

Napisała Janina Porazińska.

— Pietrek! Pietrek!... Ho — hop!

Cisza.

Marek rzucił się w stronę, skąd go krzyk doleciał.

— Pietrek! Piotruś!..

Gdzie tu szukać na wielkiej polanie, wśród tego gąszczu jałowca, wrzosu i jagodzin! Marek biegł naoślep, rzucał się to tu, to tam, wołał, rozgarniał krzaki. Zdawało mu się, że ma setkę oczów, które naraz niosą się we wszystkie strony, jak stado spłoszonych ptaków.

— Piotruś! Pioootruś! Ho - hop!

Przytaił oddech — słuchał.

I naraz posłyszał jakiś chrapliwy bulgot od strony bajorka. Rzucił się ku wodzie i śmigał, jak gnany zajac. Serce w nim to zamierało, to tukało się tak szalenie, że zdawało wpierać się do gardła i dusić. Boże, pani mu zawierzyła!

Dobiegł do trzmieliny, rozgarnął ją łokciami, uchwycił się za gałęzie i zawisnął nad wodą.

W miejscu, gdzie mech dobiegał do bajorka, niedaleko brzegu gmerał się w wodzie Piotruś, a raczej jakaś czarna, ociekająca kupa.

— Pietrek?! Laboga!

Marek jednej chwili skoczył ku temu miejscu, ułamał gałąź i podsunął ją Piotrusiowi. Nieszczęsna kupka przywarła do gałęzi. Marek ją ciągnął ku brzegowi.

— Trzymaj się mocno! Cze-
muś nie wołał?!

Ale Piotruś i teraz nie mógł głosu wydobyć. Chustka zacisnęła mu się dokoła głowy i zakneblowała usta. Stał z zamkniętymi oczami i trząsł się, jak galareta.

Marek ściągał z niego chustkę i ubranie, wszystko mokrzuteńkie i ciężkie od błota. Chodaki ugrzęzły w szlamie i już tam zostały.

Rozebrał go zupełnie, obtarł mchem z błota, a potem chwycił z głowy swą czapkę i dalej nią Piotrusia rozcierać.

Piotruś otworzył oczy. Skóra zaczęła mu się rozgrzewać, czerwienić, nawet uśmiechnął się i próbował mówić, ale zęby wciąż mu szczękały, jak w febrze.



MAREK.

Marek nie przestawał go rozcierać dotąd, aż Piotruś wyjąkał:

— Już... już... mi... mi... ciepło...

Teraz Marek błyskawicznie rozbierał się sam. Zrzucił kurtkę, spodnie, koszulę, zdjął trzewiki i onucze i zaczął w to pośpiesznie ubierać Piotrusia.

— A tty... a tty?... — bełkotał Piotruś.

— Nic się nie martw! Jakes tam wpadł?

— Go-goniłem jaszczurkę... Chu-chustka miii zasłoniła ooczy... nie... nie... widziałłem... brzeg podmyyty...

— Teraz biegaj, biegaj, skacz!

Piotruś usiłował wyprawiać harce między jałowcami, ale nogi jakoś niebardzo zgrabnie mu się ruszały; przytem głowa się trzęsała a zęby dzwoniły.

— To nic, to nic, biegaj, jak możesz!



WICEK.

Piotruś zrobił jeszcze kilka niezgrabnych susów i stanął przerażony.

— Mmmarku, czemuu... kładziesz tto... mukkree ubranie?!

Marek nie odpowiadał. Naciągał na siebie koszulę wstrętną, czarną, pooblepianą błotem i śliskimi wodorostami. Potem zaczął się szamotać ze spodniami tak zlepionymi, że nie można było nóg w nie wepchnąć. Potem kurtkę. Gdy wkładał ręce, wypchnięty z rękawów szlam bryzgnął na ziemię; kręciły się w nim czarne, błyszczące pijawki. Wreszcie owinął się chustą.

— Chodźmy szukać pani.

— A... ale czemu tttty?...

Marek znów nie odpowiedział. Usta miał zaciśnięte, oczy mu się iskrzyły, jakby w nie kto

złota nasypał.

— Chodź prędko, prędziej! Ho — hop! Dawaj rękę! Ho — hop!

Przebiegli polanę, minęli zagajnik i dostali się do starego lasu. Między drzewami, wdali mignęła im czerwona chustka pani.

— Ho — hop! Ho — hop! — krzyknął Marek coraz bardziej drżącym głosem. Straszna zimnica mokrego ubrania zaczęła go już ogarniać.

— Ho-hop! La-la-la-hi-hu! — odpowiadano mu z różnych stron.

Tu była cała klasa.

— Tu! Tu! — wołała pani i machała nad krzakami czerwonym szalem. — Oj, gdzieście byli?

Marek puścił rękę Piotrusia.

— Leć teraz prosto do pani! Pani ma termos z gorącą herbatą, to ci da. I szalem cię okryje. Powiedz, że ja wróciłem do domu.

Już nietylko zęby mu dzwoniły. Drżała mu i głowa i ręce.

Zawrócił i nieśpiesznym krokiem zaczął się oddalać.

Piotruś chwilę stał, jak urzeczony. Potem, o tyle prędko, o ile mu na to pozwalały trzęsące się jeszcze nogi, podreptał ku pani.

W parę godzin później do chaty matki Marka zastukała pani.

Uchyliła drzwi. Buchnęły na nią kłęby gęstej pary. W sionce stał Marek i w cebrzyku prał coś w gorącej wodzie. Pewnie owe nieszczone Piotrusiowe ubranie, bo woda była aż czarna.

— Marku, czemuś tak zrobił! Przecież możesz się ciężko rozchorować z zaziębienia! — wołała pani głośno, jakto ona zawsze, gdy się czemś przejmie.

Marek przestał prac. Nie odzywał się.

— Oddałeś Piotrusiowi suche ubranie — dobrze, ale trzeba było prędko przebiec krzakami do nas i zawołać na chłopców. Wicek miał oprócz ciepłej kurtki palto. Ubrałbyś się w nie i pobiegł do domu. Ty tak lubisz czystość, a to przecież było okropne!... Piotruś opowiadał: tyle błota i pijawki.

Chłopak wciąż milczał.

Pani zaczęła się domyślać: widocznie Marek chciał sam sobie wymierzyć karę.

Dalszy ciąg nastąpi.

Jarzębina.

*Jarzębina, co wyrosła
w kącie gdzieś przy płocie,
purpurowe, pełne grona
kąpie w słońca złocie.*

*Jak korale zabłysnęły
czerwone kuleczki,
zachwyciły modre oczy
Kasi - gęsiareczki.*

*By je zebrać i nanizać,
wystarczyła chwila:
przystrojona nad strumykiem
rada się pochyla.*

*Wnet piosenki radośniejsze
po tem polu płyną!
Więc nie żałuj gron straconych,
kraśna jarzębino.*

ALINA KWIECIŃSKA.



Ze sportu.

Jak zrobić boisko szkolne.

Słyszeliście może, że niedawno odbyła się wielka uroczystość sportowa w Warszawie, a mianowicie poświęcenie stadionu sportowego w parku Skaryszewskim. Stadion ten wraz z pływalnią należy do Akademickiego Związku Sportowego.

A czy wiecie, co to jest stadion?

Otóż stadion jest to olbrzymie boisko, na którym odbywają się wszelkie ćwiczenia, gry oraz zawody lekkoatletyczne.

W tym celu urządony jest duży plac, naokoło którego znajduje się bieżnia do biegów, skocznia i rzutnia, a także zbudowane są trybuny t. j. miejsca siedzące i stojące dla widzów.

Teraz postaram się Wam opowiedzieć, w jaki sposób należy sobie urządzać place do ćwiczeń i gier, na których moglibyście się wesoło bawić, a także pod kierunkiem pana nauczyciela gimnastykować się.

O ile nie macie takiego placu przy swojej szkole, to starajcie się o niego. O ile macie, to uzupełnijcie braki według naszych wskazówek.

Nie myślcie jednak, że będę Wam tutaj opowiadał, jak powstało wyżej wspomniane boisko; sposób jego urządzenia jakoteż i koszty nastroczałyby Wam tyle trudności, a pracę rozłożyłyby na tyle lat, że stałoby się to z poważnym uszczerbkiem dla innych dziedzin pracy, a tak być nie powinno.

Zresztą stadion akademików ma służyć w pierwszym rzędzie za miejsce wszelkich zawodów, pokazów, Wam zaś trzeba najpierw placu, na którym moglibyście się ćwiczyć i uprawiać zabawy i gry.

Otóż rzeczą pierwszorzędną przy zakładaniu boiska jest wybór miejsca.

Teren równy w miejscowości zdrowej, sąsiedztwo niewielkiego lasu i obecność jakiejś rzeki lub stawu — oto idealne warunki na plac ćwiczeń.

W każdym razie miejsce musicie wybierać w suchym punkcie, to znaczy, by nie było zalewane przez wody sąsiedniej rzeczki lub stawu, by wreszcie nie było w dole, w którym zbierałyby się wody po deszczu i przeszkadzałyby Wam w zajęciach. Dlatego najlepiej jest, żeby miejsce, przeznaczone na boisko, znajdowało się na lekkim wzniesieniu, a grunt, żeby łatwo przepuszczał wodę.

Wymiary boiska można wziąć: długość 100 mtr., szerokość 70 mtr. i tak je urządzić, by w miarę potrzeby, można je było powiększyć.

Teraz następuje wyrównanie terenu t. j. zasypanie dołów i dołków ziemią oraz usunięcie wszelkich górtek tak, byście, bawiąc się, nie byli narażeni na niebezpieczeństwo upadku, a w związku z tem uszkodzenie ciała.

Dokończenie nastąpi.



Lubicie hodować pieski, kotki, króliki — a ta dziewczynka (na imię jej Różyczka, mieszka w Londynie) hoduje białe szczurki! Ładne są — prawda?

Kumoszki.

Działog.

Napisata Z. Dzikiewiczówna.

WALENTOWA:

A, dzień dobry, Wojciechowa!
Jak się macie, kumo miła!
Wiecie, głowa mi aż pęka,
tyłem się dziś natrapiała!

WOJCIECHOWA:

Witam, witam na dzień dobry,
zacna pani Walentowa!
Widzę, że wam jakoś jeszcze
nic a nic nie pękła głowa.

WALENTOWA:

Żarty na bok, kumoszeczko!
Strapię ciągle mam bez liku.

WOJCIECHOWA:

A któż bez nich dzisiaj żyje?
Ot, dzień cały pełno krzyku.

WALENTOWA:

Ciągle, ciągle, jak we młynie,
spocząć ani odrobiny.
Już aż nogi mi popuchły
od tej ciągłej krętaniny.

WOJCIECHOWA:

Moja pani, moja pani!
Tego kłamstwa już za wiele!
Nic nie widzę opuchnięcia,
tylko chude dwa piszczele.

WALENTOWA:

Moja pani Wojciechowa,
wy napewno żartujecie,
nogi chude, to już prawda,
bom ja cała chuda przecie.
Nic dziwnego, starość — starość,
ta nikomu nie daruje.
Gdy człek młody się nakrzęta,
to zmęczenia nic nie czuje.

WOJCIECHOWA:

Tak, tak kumciu, starość — starość,
oj, ta starość niepoczciwa!
Dawniej taka zgrabna byłam,
a dziś stara, brzydka, krzywa!

WALENTOWA:

Widzi pani, widzi pani,
jakże człowiek ma być żwawy?
Ale najpierw pani powiem,
jakie miałam dziś przeprawy.
Ledwie tylko wstałam zrana,

prosię mi uciekło z chlewa!
Gonię, latam, nóg nie czuję —
ono pędzi między drzewa.

WOJCIECHOWA:

Och, ja miałam dziś to samo
kropka w kropkę, kumoszeczko!
Tylko zamiast między drzewa
zabłąkało się nad rzeczką.

WALENTOWA:

No, no, patrzcie! Ale pewnie
nie to samo dalej było.
Moję prosię to się nagle
czegoś bardzo przestraszyło.
Szur-pur w gąszcze, a ja za niem,
ono zgrabnie umykało:
Chcę je chwycić, a tu raptem
coś mię ztyłu zatrzymało.
Pochwyciło, no i trzyma.
Szarpie, co mam tylko mocy,
nie pomaga nic, kumeczko,
nawołuję więc pomocy.

WOJCIECHOWA:

A, ciekawość aż mię pali,
co was, kumo, tak trzymało.
Czy złe jakie było w krzakach,
że was dalej nie puszczało?

WALENTOWA:

Nie to, nie to, a słuchajcież:
kół był gruby wbity w dołku,
a me wszystkie spódniczyny
zaczepiły się na kołku.
I ja, stara gospodyni,
tego wstydu dziś dożyłam,
że na własnych się spódnicach
gdzieś na kołku powiesiłam!

WOJCIECHOWA:

Oj, nic znowu się nie stało!
Posłuchajcież mojej doli,
jakem stała się błaźnica,
także mimo swojej woli.
Dziś raniutko wszystkie chusty,
wszystkie płachty prac skończyłam
i na trawie ponad rzeczką
w słońku pięknie je suszyłam.
A że wicher był ogromny,
jedna płachta się zerwała
i jak na złość — prosto na mnie...
głowę całą omotała.

WALENTOWA:

Moja pani, moja pani,
toż to losy, to przygody!

WOJCIECHOWA:

Gdy się z płachtą tą borykam,
nagle buch! — wpadłam do wody!

WALENTOWA:

Oj, kumeczko, nieboraczko,
toście gorzej, niż ja, mieli!
No i jakże, cóż tam dalej?
Kto was dostał z tej kąpieli?

WOJCIECHOWA:

Któżby dostał? Samiuteńka
wysłałam jakoś, napół żywa,
i do domu podreptałam
przemoknięta, nieszczęśliwa.

WALENTOWA:

Moja pani Wojciechowa,
aż mi lżej na sercu przecie,
że nietylko ja samiutka
skłopotana żyję w świecie.

WOJCIECHOWA:

I mnie także już ulżyło,
że wam wszystko powiedziałam.
Dowidzenia!

WALENTOWA:

Dowidzenia! (*Rozchodzą się*).

WOJCIECHOWA (*wracając*):

Jeszcze oto zapomniałam
was zapytać, czy to prosię
w chlewku siedzi, czy złapane?

WALENTOWA:

A no jakże, pewnie, pewnie!
Nawet w chlewie przywiązane!
Dowidzenia!

WOJCIECHOWA:

Dowidzenia! (*Rozchodzą się*).

WALENTOWA (*wracając*):

Jeszczem się was nie spytała,
czy ta płachta wyciągnięta,
czy też w rzecze pozostała?

WOJCIECHOWA:

A no jakże? Razem ze mną,
kiedy wyszła moja głowa,
to i płachta. Dowidzenia!

WALENTOWA:

Dowidzenia. (*Rozchodzą się*).

WOJCIECHOWA:

(*wracając po chwili*):

Walentowa!

WALENTOWA (*wraca*):

Co, kumeczko?

WOJCIECHOWA:

Spytać chciałam,
czy chleb dzisiaj piec będziecie,
bo przyniosłabym buleczkę,
a upiekłaby się przecie.

WALENTOWA:

Nie, nie będę dzisiaj piekła.
Idźcie z Bogiem!

WOJCIECHOWA:

Dowidzenia!
(*Rozchodzą się, po dłuższej chwili
wraca*).

WALENTOWA:

Kumo, kumo! Oj, już poszła!
Niechby dała do pieczenia!
Ale kiedy tak się śpieszy
i chwileczki nie poczeka,
to nie będzie jadła bułki.
Jak uciekła, niech ucieka,
i ja przecież czasu nie mam
i robota na mnie czeka.
Tak króciutko-śmy gađały!
Jak uciekła, niech ucieka! (*Odchodzi*).



Zbliska i zdaleka



KATASTROFY ŻYWIOŁOWE W KOŃCU WRZEŚNIA. W końcu września w różnych miejscach kuli ziemskiej zdarzyły się katastrofy żywiołowe, a więc trzęsienia ziemi na Krymie, w Hiszpanji i w Kalifornji w Ameryce. Czechy, Południową Amerykę, Anglję — nawiedziły huragany i ulewy, zaś Stany Zjednoczone i Indje — powódzie.

OFIARA NAUKI. W Afryce zmarł na żółtą febrę profesor Adrjan

Stokes, zajmujący się badaniami tej choroby. Pomyślcie: pracował nad tem, żeby straszna choroba nie trapiła ludzkości, i sam padł jej ofiarą!

NIEZWYKŁA PRZYGODA LOTNIKÓW. Na linii lotniczej Londyn - Zurych zarząd musiał kierować swe samoloty inną drogą, gdyż nad Alpami przelatywały tak wielkie i liczne stada ptactwa, udającego się do ciepłych krajów na zimę, że groziło to niebezpieczeństwem dla samolotów. W Ameryce samolot zderzył się z ogromnym orłem. Orzeł przyplącił to życie, ale samolot był tak silnie uszkodzony, że lotnik czemprejdziej musiał opuścić się na ziemię. Obawa więc zarządu linii lotniczej była słuszna, tembardziej, że samoloty miałyby do czynienia z „gromadą”, która coprawda światem nie włada, ale swą masą mogłaby unieruchomić sztucznego ptaka.

NAJWIĘKSZY APARAT FOTOGRAFICZNY skonstruowała niedawno firma amerykańska Eastman Codak Co. Soczewka tego aparatu ma w średnicy 22,5 cm. Aparat ten przeznaczony jest dla celów wojskowych eskadry lotniczej amerykańskiej. Przy pomocy tego aparatu będzie można wykonywać zdjęcia na odległość około 30 km.

MASZYNY DO PISANIA W PRZYSZŁOŚCI. Słynny wynalazca, Marconi, który wynalazł telegraf bez drutu, pracuje obecnie nad udoskonaleniem maszyny do pisania, do której wystarczy mówić, ażeby pisała. Ma ona jeszcze tę zaletę, że można dyktować w jednej miejscowości a w miejscowości drugiej maszyna wypisuje dyktowane zdania.

CO BĘDZIE DLA WAS W „RADJO”?

Dnia 8 października, w sobotę, o godz. 17 m. 45 do 18 m. 15 program dla młodzieży: pogadanka p. t. „Czarne djamenty” — wypowie p. Fleszerowa; o godz. 20 m. 15 koncert dla młodzieży z udziałem orkiestry pod dyktando pp. Jana Dworakowskiego, Mieczysława Soleckiego, Kazimierza Butlera i St. Nawrockiego.

Dnia 10 paźdz., w poniedziałek, o godz. 17 m. 45 do 18 m. 20 program dla młodzieży: „O turnieju i pasowaniu na rycerza” — wypowie p. Henryka Nowocieniowa.

Dnia 12 paźdz., w środę, o godz. 17 m. 45 do 18 m. 15 program dla dzieci: „Przygody Maciusia” J. Porazińskiej — wypowie p. W. Tatarkiewicz.

Dnia 15 paźdz., w sobotę, o godz. 17 m. 45 do 18 m. 15 program dla młodzieży i dzieci: audycja zbiorowa z muzyką p. t. „Jak spędziliśmy wakacje” oraz koncert (orkiestra Polskiego Radjo wykona polskie tańce ludowe).

Dnia 17 paźdz., w poniedziałek, o godz. 17 m. 45 do 18 m. 20 program dla młodzieży i dzieci: przegląd najnowszych książek dla dzieci i młodzieży — wypowie p. Henryk Ładosz.

Dnia 19 paźdz., w środę, o godz. 17 m. 45 do 18 m. 15 program dla dzieci: pogadanka historyczna o królowej Jadwidze — wypowie p. Zofja Szadebergowa.

Dnia 22 paźdz., w sobotę, o godz. 17 m. 45 do 18 m. 15 program dla młodzieży: poezje Lenartowicza, Asnyka i inne — wypowie p. Popiel-Swięcka. Koncert.

Dnia 24 paźdz., w poniedziałek, o godz. 17 m. 45 do 18 m. 20 program dla młodzieży: „Mała kronika wrześniowa” — wypowie p. W. Kopczewski.

Dnia 26 paźdz., w środę, o godz. 17 m. 45 do 18 m. 15 program dla dzieci i młodzieży: „Skrzynka pocztowa” — wypowie p. W. Tatarkiewicz.

Dnia 29 paźdz., w sobotę, o godz. 17 m. 45 do 18 m. 35 program dla dzieci: audycja zespołowa z ilustracją muzyczną p. t. „Żywy numer „Piomyczka” oraz koncert.

Co u nas słyhać.

KOCHANY „PŁOMYKU”

Ponieważ po raz pierwszy do Ciebie piszemy, musimy się zatem przedstawić. Jesteśmy wychowankami Towarzystwa Opieki nad ociemniałymi, założonego przez Matkę Czacką. Mieszkamy we wsi Laski, położonej o 9 klm od Warszawy.

Nas dziewczynek jest dwadzieścia, chłopców trzy-nastu, jest jeszcze żłobek, składający się z czworga małych dzieci. Uczymy się, jak i dzieci widzące, z tą tylko różnicą, że niema u nas rysunków, lecz zamiast nich mamy modelowanie. Czytamy i piszemy również inaczej. Szkoła nasza ma dopiero trzy oddziały: drugi, czwarty i piąty, z czasem będzie więcej.



LEKCJA ROBÓT RĘCZNYCH.

Lekcje zaczynają się o dziewiątej, a kończą o o pierwszej godzinie. Po południu czas wolny do godziny trzeciej, następnie spacer, po spacerze, jeśli mamy coś zadane, to odrabiamy lekcje, jeśli nie — czas wolny. O godzinie czwartej roboty. W niektóre dni — ze sznurków, w inne — koszykarstwo lub też drutowe.

Na robotach sznurkowych mamy pończochy, rękawiczki i tym podobne. O wpół do szóstej mamy gimnastykę, o szóstej wieczera, następnie czas wolny. Później odmawiamy różaniec w kaplicy, następnie czas wolny. Potem pacierz wieczorny i idziemy spać.

Chcemy również powiedzieć kilka słów o naszych nauczycielkach. Jedną z pań niewidomych uczy nas historii Polski, inna, również niewidoma, śpiewu, chłopców uczy niewidomy nauczyciel robót z papieru i z rozmaitych pasków; niewidomy również wyklada koszykarstwo. Pan miewa lekcje następujące: przyrodę, geografję, rachunki i geometrję; Pani: religję, polski.

Czytamy za pomocą dotyku z arkuszy z wyklu-



CZYTANIE.

temi znakami. Koszykarstwa, szycia u dziewczynek i modelowania udzielają siostry.

Kończymy zatem nasz list, kochany „Płomyku”, prosząc o odpowiedź. Każdą odpowiedź przysyłaj na ulicę Polną 40.

Niewidome dzieci.



„TURNIEJ ROZRYWKOWY”.

Termin nadsyłania rozwiązań do 19 października.

Nr. 11. LOGOGRYF. (Za rozwiązanie 3 punkty).

○ ○ × ○ ○

○ ○ × ○ ○

○ ○ × ○ ○

○ ○ × ○ ○

○ ○ × ○ ○

○ ○ × ○ ○

Na miejsce kółek i krzyżyków trzeba wstawić odpowiednie litery, które utworzą 6 wyrazów czytanych poziomo. Litery na miejscu krzyżyków utworzą rozwiązanie zadania.

Znaczenie wyrazów: kawałek lodu, zamrożonego w wydłużonej formie, wiszącego u ścieku dachu; sprzęt, służący do kładzenia książek lub innych rzeczy; moneta polska; wspianały koń; duża bryczka; część mieszkania.

Nr. 12. SZARADA. (Za rozwiązanie 2 punkty).

Nadesłał Karol Hubert.

Pierwsza — pierwsza grzyby
w lesie

zbiera i do miasta niesie.

Druga — druga dzieci bawi;

gdy są grzeczne, bajki prawi.

Całość — dobra z tej

przyczyny,

że w niej można nosić płyny.

Nr. 13. SZARADA. (3 punkty).

Pierwsze—*trzecie*—przy towarze znajdziesz na wystawie.

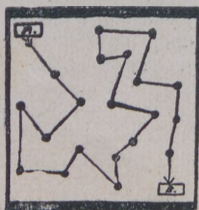
Drugie—*trzecie*—to samo, co sznur znaczy prawie.

Drugie i pół *trzeciego*—to jest znana ryba.

Całość—imię kobiety. Łatwo zgadnąć chyba?

ROZWIĄZANIA z Nr. 2.

Zadania Nr. 2:



Szarady Nr. 3: Deser.

Biletów wizytowych Nr. 4:

KUPIEC. WOJSKOWY.

DENTYSTA.

Kwadratu magicznego

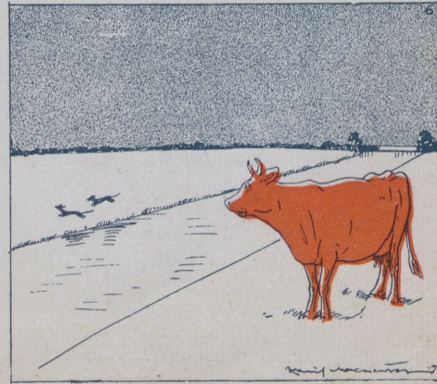
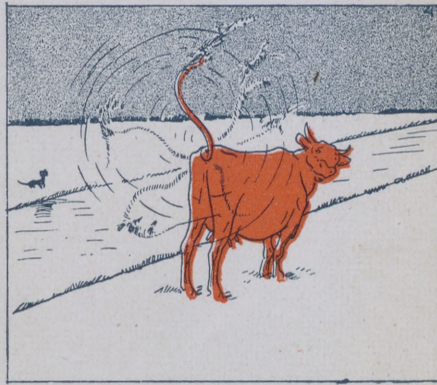
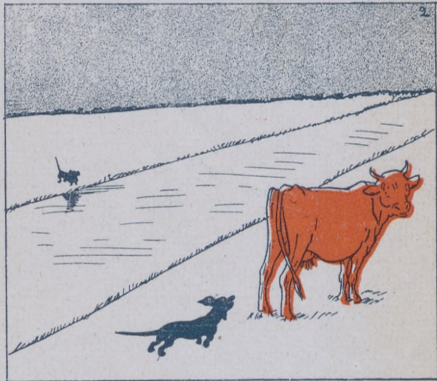
Nr. 5:

OWAD, WODA, ADAM, DAMA.

HISTORYJKA W OBRAZKACH

o tem jak, Figielek dostał się na drugi brzeg do swego przyjaciela.

Rysował K. Mackiewicz.



„CZY ZNACIE TE LIŚCIE?”

Odpowiedzi na zapytanie, zamieszczone w № 2 „Płomyka”.

Nr. 1 — brzoza, Nr. 2 — lipa, Nr. 3 — bez, Nr. 4 kasztanowiec, Nr. 5 — dąb, Nr. 6 — wierzba, Nr. 7 — porzeczką, Nr. 8 — topola.

Okazało się, że dużo dzieci zna liście. Najwięcej kłopotu sprawiał liść porzeczki (Nr. 7), podobny bardzo do agrestu, ale nie do klonu, jak podało wielu naszych czytelników. Najwcześniejsze trafne odpowiedzi nadesłali:

1. Henryk Dudkiewicz z Warszawy, 2. Z. Frankenstein z Kutna, 3. Jan Krolko ze Słonima, 4. Sławek Zwolski z Sandomierza, 5. Janina Kądziałówna z Platerowa, 6. Marysia Sprzączkowska z Zajezierza, 7. Tadeusz Migacz z Nowego Sącza, 8. Wincenty Warda z Zalesia, 9. W. Pągowska z Warszawy.

Z tego powodu, że odpowiedzi trafnych otrzymaliśmy jednocześnie więcej, niż trzy, bo aż 9, tyleż „Płomyk” rozesłał niespodzianek: Trzem pierwszym Czytelnikom trzy atlasy drzew, wyd. Arcta, trzem następnym książki p. t. „Nasz las i jego mieszkańcy” Dyakowskiego, trzem ostatnim—lupy, czyli szkła powiększające.

O F I A R Y.

DLA POWODZIAN.

Jurek Pogorzelski z Radomia — 13 zł.; szkoła powsz. w Dwikozach — 8 zł. 50 gr.; Wakacyjny Ochołniczy Zastęp harcerzy w Karskich zebrane na loterji fantowej — 12 zł.

NA BUDOWĘ SZKOŁY W GDYNI.

Tadzio Ostrowski z Warszawy — 1 zł.; kl. IV-a szkoły powsz. w Pilicy — 4 zł.; kl. VII szkoły powsz. w Gródku Jagiellońskim — 1 zł. 35 gr.; kl. IV i V szkoły powsz. w Nosowie — 1 zł. 26 gr.; Stefuś Pastecki dla uczenia ś. p. Tomusia 3 zł.

WARUNKI PRENUMERATY:

„Płomyk”	miesięcznie 1 zł. 50 gr. — za cały rok szkolny 14 zł.
„Płomyczek”	1 zł. — — — — — 9 zł.
„Płomyk” z „Płomyczkiem”	miesięcznie 2 zł. — — — — — 18 zł.

Ceny obliczone z kosztami przesyłki.

Numer pojedynczy: „Płomyka” — 40 gr., „Płomyczka” — 25 gr.,
„Płomyka” z „Płomyczkiem” — 50 gr.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, ul. Świętokrzyska № 18.

№ telefonu 322-18. Konto czekowe P. K. O № 6880.

Redaktorka przyjmuje od g. 1 do 3, prócz wtorków i sobót.

Administracja otwarta codziennie od godz. 9 rano do 7 wiecz. Prenumeratę przyjmuje oprócz administracji „Nasza Księgarnia” — ul. Widok 22 i Związek Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych — ul. Marszałkowska № 123.

Wydawca: w imieniu Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych —
JÓZEF WŁODARSKI. Redaktorka — HELENA RADWANOWA.

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.